



W Bielsku, dnia 17 listopada 1907.

Reguła życia powszedniego.

Nie dość jest pełnić dobro; trzeba je jeszcze wykonywać dobrze i z pewnym ła-dem, aby stało się pożytecznem i trwałem. Dlatego swoje czynności najlepiej jest ująć w stałe i pewne prawidła:

Wstając rano (o ile można, zawsze o jednej i tej samej godzinie), wznies swoją myśl do Boga; nawet ubierając się, miej ją Nim zajętą, bo później, wśród zajęć i trosk domowych, trudniej ci będzie uchronić się od roztargnienia. Przy pacierzu miej też uwagę skupioną, aby nie należeć do tych, co tylko wargami chwala Pana i pomyśl naprzód o sposobnościach, czekających cię dnia tego, w których mógłbyś Boga obrazić, abyś uzbroił się zawczasu przeciw przyjsz mającej pokusie.

Jeśli czas ci pozwoli, to chwilę poświęć jeszcze rozważaniu prawd naszej świętej wiary. Możesz to nawet czynić w czasie codziennej, jakiejś zwykłej porannej, pracy, która myśli twojej czem innem nie zaprzątnie. Takie rozważanie, choćby ci się zrazu

trudnem wydało, może się później odbywać nawet bez żadnego wysiłku myśli, a wreszcie stać się chwałebnym zwyczajem i niejako źródłem dobrych czynności dnia całego.

Pracę powszednią odbywaj chętnie, bez szemrania, nawet z pewnem zamięłowaniem, jako obowiązek, który Bóg włożył na każdego z nas, odkąd człowiek prawo do raj u na ziemi utracił. Jeśli praca twa bardzo ciężka lub znudna, przyjmij ją jako pokutę za swoje lub drugih przewinienia i pewnym bądź, że każda chwila trudu, każda kropla znoju, w duchu ofiary i dobrej woli wylana, policzona ci będzie za zasługę; żadna z nich na marne nie pójdzie. Pracę tę łącz w duszy z pracą Jezusa Chrystusa, którego całe życie było trudem i zaparciem, dla twego zbawienia. Jeśliś w dawniejszych latach grzeszył zbytkiem i próżnością, zmyjesz te winy potem, który ci teraz czoło zlewa. — Jeśli masz czas i środki po temu, pomyśl o tem, abyś mógł pracą swoją przyczynić się do nakarmienia lub okrycia ubogich; będzie to, jako czyn miłosierdzia, jeden z najpiękniejszych i najszacowniejszych owoców twego mozołu.

Zasiadując do posiłku, jak i kończąc go, uczyni znak krzyża św. lub zmów krótką modlitwę. Jedz tyle, aby pokrzepić siły i głód nasycić. Jeśli tylko niedostatecznie możesz się pożywić, bo ci brak na to zasobów, wspomnij na surowe posty, jakie dobrowolnie zachowywali Święci pańscy, lub na żółć i ocet, któremi karmiono Pana naszego na krzyżu.

Podczas zajęć, które dzień twój wypełniają, zwracaj myśl często ku Ojcu niebieskiemu, który jest obecny w każdej chwili przy tobie i patrzy na ciebie, więc jako do obecnego przemawiaj w duchu, wierząc, że cię słyszy. Proś Go o radę w chwili niepewności, o pomoc Jego łaski w jakiś trudniejszej okoliczności, np. w czasie niedobrej myśli lub pokusy, która cię dla wypróbowania twej wierności, przyszła nawiedzić. Dziękuj Mu za pociechę, lub myśl dobrą; ofiaruj każdą czynność, którą masz rozpocząć i przy każdym dźwięku bijącej na zegarze godziny, ponawiaj dobre postanowienia.

Do takich zwrotów serca ku Bogu, nie potrzeba słów dużo; wystarczą króciutkie, gorące westchnienia: — „Panie, w Tobie

moja nadzieja! — Panie, miej litość nademną! — Boże kocham Cię z całego serca! — Przebac mi Boże winę, którą tej chwili popełniłem! — Bądź zawsze w mojem sercu! — Dzięki Ci Panie i wieczna chwała!“ — albo też inne, jakie w tej chwili natchnie ci myśl pobożna. Są i akty takie bez słów, tylko poczęte głęboko w duszy wierzącej. Bóg je zrozumie, przyjmie i odpłaci łaską Swą, bo słów wiele nie wymaga. Sam nam objawił, że chce przede wszystkim być tylko czczonym w „duchu i prawdzie“.

Modlitwę wieczorną odmawiaj razem z rodziną i czeladką; miłszą będzie Panu, który słucha łaskawie spólnych modlitw i takowe uczniom swym polecał. Będzie też skuteczniejszą i ułatwi twoim domownikom spełnienie tego wieczornego obowiązku. — Nie zaniedbuj, po modlitwie uczynić sobie po cichu krótkiego rachunku sumienia, — Jeśli rzeczywiście pragniesz postąpić w dobrem i pozbyć się niedobrych zwyczajów, które czasem mimo twej woli szpecą twe postępowanie. Zасыpiając, wzbudź znów uczucie czyste i pocziwe, Bogu swój spoczynek ofiarując.

Oto dzień chrześcijanina.

ŻYJMY NADZIEJĄ!

Precz chłodne zwątpienie! precz z duszy na wieki!

Życ warto — jest szczęście tu na tym podole;

Znużone na nowo podnieśmy powieki,

Ideał nam błysnął — on skończy niedolę.

Z ruiny wiekowej — z rodzinnych popiołów,

Wyrasta olbrzymia idea przyszłości,

I ludzkość na odgłos wybawców — aniołów,

Znów zmartwych powstaje w niebiańskiej czystości.

O! rośnij — olbrzymiej, szlachetny zapale,

Oczyszczon krwią, łzami i znojem na nowo;

Ach, szybciej zwątpienia przeważaj nam szalę,

Dosięgnij niebiosów i sercem i głową.

My życie oddamy na ołtarz, w ofiarę,
Lecz niech się oczyści świat w słońca promieniu,
Z uśmiechem dopijem goryczy swej czarę,
Lecz Panie, błogosław naszemu natchnieniu!

Telesfor Świącicki.

(Wiersz umieszczony w marcu 1862 w „Strażnicy” piśmie wydawanym w więzieniu żytomierskim przez młodzież gimnazjalną i uniwersytecką. — Odpisywane Nra w kilku egz. rozchodziły się ukradkiem po mieście.)

Baśń o talizmanie.

Żył przed laty w mieście hiszpańskiem Grenadzie, młody rycerz, sławny z dzielności, bogactw i urody, nazwiskiem Alfons Bondaro. Wszyscy, co go znali nie mogli się wydziwić szczęściu, jakie mu zawsze i wszędzie służyło: w bitwach z nieprzyjacielem, choć rzucał się w najgorętszy wir walki, wychodził zawsze zwycięsko; cokolwiek zaczął, udawało mu się niezawodnie; na dworze królewskim miał szczególne przywileje, a monarcha coraz to nowymi zaszczytami go obsypywał. Podziwiano go w około i powiadano o nim powszechnie: „oto szczęśliwiec!”

Alfons Bondaro miał giermka imieniem Zuano, którego lubił bardzo i ufał mu wielce, mając go więcej za przyjaciela i kolegę, niż za sługę. Zuano, udając życzliwość, był jednak przewrotnym i wykorystać chciał wszędzie dla siebie dobroć swego pana i pochlebiał mu nieustannie. Rycerz Bondaro w ślepem zaufaniu do giermka, powierzał mu swoje plany i zamiary, a pewnego dnia, dowiedziawszy się, iż dama o której rękę się starał, przyjęła łaskawie jego miłosne oświadczyzny, w radosnem uniesieniu wyjawiał Zuanowi swoją największą tajemnicę, której dotąd nie odkrył przed nikim. Oto oznajmił mu, że powodem jego niezmiennego szczęścia, którego sława tak szeroko się rozchodziła, był cudowny jakiś talizman szczęścia, który otrzymał on po zmarłym ojcu. Talizman ten mający postać złotej blaszki, na której wyryte były jakieś arabskie znaki, przechodził

w jego rodzie z ojca na syna, a był zdobyty przez jednego z przodków Alfonsa, podczas wojen z Maurami. Było podanie, iż pochodził on od samego Mahometa.

Wiadomo to, że za szczęściem każdy z nas śmiertelników goni; nie jeden popełnia głupstwa, a nawet zbrodnie, aby je tylko osiągnąć. Ale to szczęście, choć osiągnięte trwa zwykle krótko i pochłania jako fiarę tego, co go tak pragnął, bo musi stawać do walki z drugim, który także szczęścia tego pożąda i w walce tej na śmierć lub życie jeden z zapaśników poledz musi, albo oba giną w zajądłym boju o to upragnione dobro doczesne.

Zuano usłyszawszy od swego pana wyjawienie tajemnicy, zapalił się żądzą posiadania owego talizmanu i postanowił skorzystać z pierwszej ku temu sposobności.

Gdy zbliżały się gody weselne Alfonsa Bondara, tenże odjeżdżając do swej narzeczonej, polecił Zuanowi, aby wszystko do uroczystości tej przygotował. Gdy w tydzień później oboje oblubieńcy wraz z wielką liczbą gości weselnych nadjechali, odbyły się zaślubiny, a potem huczne zabawy, igrzyska, turnieje itp.

Pan młody we wszystkich tych rycerskich ćwiczeniach otrzymał pierwszeństwo nad innymi. Chwalono powszechnie jego siłę, zręczność i piękną postawę. Młoda małżonka włożyła mu na głowę laurowy wieniec, jako przyznaną mu przez wszystkich nagrodę za męstwo okazane w walkach turniejowych.

Tegoż wieczora, Bondaro wróciwszy zmęczony z igrzysk, zanim udał się na spoczynek, uczuł pragnienie i kazał Zuanowi, by mu podał kubek wina. Gdy mu

go. Zuano przyniósł z drugiej komnaty, młody rycerz chciwie płyn wypił, lecz nagle kubek z rąk na ziemię wypuścił, zbladł jak ściana i z oczami w słup postawionemi z jękiem i głuchem łoskotem runął na posadzkę. Drgnął jeszcze parę razy, wreszcie martwo wyprężywszy się, skonał.

Zuano z drapieżnością tygrysa rzucił się ku zwłokom i rozerwawszy na stygnącej piersi ubranie, ściągnął z niej na sznurku zawieszony talizman i zawołał: — „Mam już szczęście!“ — wsiadł na konia i w świat daleki uszedł.

Stał się wkrótce bogatym, sprawy wszelkie wiodły mu się, jak tego pragnął. Z ludźmi mało żył, bojąc się, by mu kto talizmanu nie odebrał. Złota blaszka mocą swoją odpędzała smutki i złe przygody; moc ta jednak okazała się w jednym względzie za małą, bo nie mogła w nim przegłuszyć wyrzutów sumienia i mimo, że kupił sobie wspaniały zamek w cichym ustroju, wyrzuty truły w nim spokój duszy i udręczenia mu sprawiały.

Pewnego wieczora, gdy truciciel siedząc w bogatej komnacie, zalewał robaka zgryzoty dzbanem wina, usłyszał za nadejściem północy, trzykrotne pukanie do drzwi. Zuano myślał, że to tylko przywidzenie. Gdy jednak pukanie powtórzyło się raz drugi i trzeci, zawołał: — „Kto tam?“ — Lecz w tejże chwili, nim pospieszył ku drzwiom, by je otworzyć, podwoje same rozwarły się i weszła niemi bez szelestu, nogami ziemi nie tykając, postać jakaś w czarnej szacie, w której Zuano w najwyższem przerażeniu, poznaje swego pana. Widmo, wyciągnawszy rękę, zawołało: — „Oddaj talizman!“ — Zuano padł zemdlony na sofę, jak gdyby rażony piorunem. Gdy się ocknął, talizmanu na piersiach już nie miał. —

Niezbýt daleko stamtąd, w starej baszcie stojącej śród dawnych obronnych murów, mieszkał wraz z nietoperzami i sowami, siwy mędrzec, czarodziej. Mieszkanie jego stanowiła mała izdebka z jednym okienkiem, zaopatrzonem w żelazną kratę. Na murze wisiła latarnia czarodziejska, obok leżały zioła, proszki, kamyczki, fajerka, krzesiwo

i różne przedmioty nieznanego przeznaczenia, oraz rozpięte na ścianie suszone węże i jaszczurki. Sam starzec siedział nad wielką księgą, kiedy wszedł do izdebki jakiś obcy człowiek.

— Kto jesteś i czego żądasz? — zapytał łagodnie przybysza mędrzec.

— „Jestem nieszczęśliwym, szukającym szczęścia, którem utracił.“

Czarnoksiężnik wpatrzył się w gościa, którym był Zuano i spytał:

— „A jaki miałeś sposób na owo szczęście?“

Zuano opowiedział wszystko jak było; wyznał swą zbrodnię i dodał jakim sposobem talizman utracił. Zakończył wreszcie słowami:

— „Zaklinam cię starcze, spraw niech odzyskam moje szczęście!“

— „Jeśli chcesz synu osiąść szczęście prawdziwe, żałuj za zbrodnię i pokutuj, a gdy ci Bóg wybaczy, osiągniesz szczęśliwy żywot w wieczności.“

— „Ja teraz chcę mieć szczęście, a o przyszłe nie dbam; nie po to do ciebie ojcze przyszedłem, abys mi wieczną szczęśliwość obiecywał, lecz abys mi dopomógł odebrać mój talizman. Wszak mniewasz do czynienia z duchami, uczyni więc, niech mi będzie oddany. Błagam cię, starcze, na wszystko!“

Starzec na takie prośby i zaklęcia, rzekł do Zuana:

— „Namyśli się jeszcze; masz do wyboru: powrócić w spokoju i ze skrucą w sercu pełnić dobre uczynki, pracując cierpliwie, aby zdobyć szczęście wieczne, — albo też otrzymać doczesną pomyślność, dostatki i zaszczyty, a potem nieskończone ponosić męki.“

— „Ja nie chcę pracować ani cierpieć!“ — krzyknął Zuano — „właśnie na to chcę talizmanu, aby być wolnym od trosk na świecie!“

— „A więc pozwól, synu, niech ci przeczytam z księgi wróżb, co cię czeka.“

I starzec roztworzywszy księgę, wyszukał te słowa: — „Szczęście przez talizman osiągniesz, ale głową je okupisz.“

— „Niech się dzieje co chce, abym miał

to szczęście!“ — zawołał Zuano. Wtedy czarownik zapalił na fajerce ogień, nakładł na nią ziela i odmówił słowa zaklęć. Powstał gęsty dym. Gdy ten ustąpił, ukazał się w świetle duch Alfonsa Bondara. Zuano cofnął się w bok z pewnem przerażeniem, podczas gdy mędrzec rozmawiał z duchem, który podał mu talizman szczęścia, poczem po nasypianiu proszku na węgle, powstał znów obłok dymu, wreszcie gdy się rozjaśniło, duch już znikł, a czarodziej w milczeniu podał blaszkę, którą tenże szybko chwyciwszy, bez pozdrowienia ani podziękowania, wybiegł z nią na pole, skąd słychać było tylko echo oddalających się kroków; echo to odbiwszy się o stare mury, umilkło.

Zaledwie cisza zaległa ruiny, dał się po chwili słyszeć znów odgłos jakichś kroków; po chwili uchyliły się też drzwi od izdebki czarnoksiężnika i wszedł do niej jakiś nieznajomy w długim płaszczu, szerokim kapeluszu i długą laską w rękę.

— „Kto jesteś i co cię tu sprowadza?“ — spytał znów starzec.

— „Jestem przybyszem z dalekiej, germańskiej krainy i w pogoni za szczęściem, wstąpiłem do ciebie, ojciec“ — rzekł podróżny. — „Dowiedziałem się, iż w waszej Hiszpanii jest ktoś posiadający cudowny talizman, o którym szeroko rozgłos się rozchodzi, a ponieważ jestem jednym z tych pokrzywdzonych, którzy się zrodzili pod nieszczęsną gwiazdą, postanowiłem odbyć tę długą podróż, aby jakimś sposobem zdobyć ów talizman, który położyłby koniec moim niepowodzeniom.“

Mędrzec odpowiedział poważnie:

— „Szczęście mogłeś znaleźć i w swej ojczyźnie.“

— „Byli tacy, co je znaleźli, ale nie na długo, ja zaś chcę je posiadać na zawsze!“ — rzekł nieznajomy z zapałem.

— „Możesz mieć szczęście wieczne“ — odpowiedział starzec — „ale musisz je wypracować i wymodlić na ziemi, nim przyjęty zostaniesz w niebie“.

— „Ach, daj mi spokój starcze z radą taką! praca jest według mnie największem nieszczęściem, a o niebo nie dbam. Ja tu,

na ziemi chcę raj. Zaklinam cię mądry człeku, powiedz, gdzie talizman mogę ten znaleźć!“

— „A czy myślisz wędrowcze, że właściciel jego, zechce ci go odstąpić?“

W oczach przybysza błysnął dziki ogień: — „Nie będę go prosił, ale oddać mi go musi!“

— „Powie ci gdzie jest, ale zarazem oznajmię, że źle na zdobyciu tem wyjdiesz.“

— „Nie boję się!“ — zawołał podróżny — „gdy talizman posiędę, nic złego nie będzie miało do mnie przystępu!“

— „A więc powiedzcie ci muszę, że skarb ten posiada Zuano, dawny giermek rycerza Bondara, zamordowawszy swego pana. Ty mu go odbierzesz, ale — krew za krew się wyleje.“

— „Tak, krew za krew! ja pomszczę to morderstwo!“ — i przybysz wybiegł z izby.

W noc ciemną i burzliwą, wśród grzmiejących piorunów i blasku błyskawic, przedzierał się przez las gęsty, podróżny w długim płaszczu i szerokim kapeluszu. Wyszedłszy z gęstwiny, ujrzał opodal światło. — „To tam!“ — szepnął do siebie i gorączkowym krokiem podążył w kierunku jasności, jaką promień lampy rzucał przez okno wielkiego gmachu. Stanąwszy przed bramą, ostro w nią zapukał. — Kto tam?“ — zapytał odźwierny, otwierając bramę.

Błysło żelazo w rękę podróżnego i sługa runął martwy na ziemię. Idzie dalej i zastępującego mu drogę pachołka kładzie także trupem, wreszcie wpada do komnaty Zuana, siedzącego w milczeniu przy świetle latarni.

Zbrodniarz jak zwierzę dziki rzuca się na mordercę i wbija mu sztylet w serce. Jednocześnie wpadający z piekielnym trzaskiem grom, powalił obu zapaśników, którzy padli bez życia na ziemię.

W tejże chwili, przez okno, z którego piorun wyłamał żelazną kratę, wleciał kosmaty upiór z rogami i skrzydłami nietoperza, a rozerwawszy szatę na piersi martwego Zuana, porwał w zęby talizman szczęścia i uniósł go powietrze. Odtąd o skarbie tym nikt już nic nie słyszał.

nadesłał Al. Kawa z Mielca.

ZŁOTE ZIARNKA.

Chcesz zyskać zdatność, aby bliźniemu
[usłużyć?
Starajże się jak najmniej jego posług użyć.

Czas upływa, rok za rokiem,
Bieży spieszno jak potokiem,
Jak krynicą woda;
Trzeba chwytąć lotne chwile
Bo uciekną jak motyle,
Potem będzie szkoda!

Gdy jesteś piękną, powiedz, że Bóg się
[nie mylił,
Kiedy nad tobą wieniec urody pochylił;
Gdy jesteś szpetną, wtedy rozgłoś to po
[świecie,
Że czasem wielkie cnoty w niepozornym
[kwiecie.



Dola nauczycielki.

Szara sukienka, wytarta, pomięta, kapelusik na czoło nasunięty, skromny, opasany aksamitką, parasol w ręce, trzy—cztery książki i parę zeszytów pod pachą.

Idzie spiesznie; na twarzy znać podwójne zmęczenie—wypieki świadczą o licznych kursach i wysokich piętach, zrobionych przez nią; wzrok wskazuje, że myśli pracowała dużo i w obecnej chwili pracuje: oczy ślizgają się po przechodniach, ale nie widzą nikogo.

Weszła do jednego z domów, szybko minęła bramę, skręciła do oficyny, wspięła się na trzecie piętro, zadzwoniła; w przedpokoju zdjęła kapelusz i okrywkę i wsunęła się do pokoju.

Skinąwszy głową zebrany, milcząco zasiadła do stołu, na którym oczekiwały książki i kajety.

— Anielka zaraz nadejdzie. Poszły z

siostrą do bioskopu, ale zaraz przyjdą, pani chwilę zaczeka.

Ona czeka.

Przywykła do tego. Na każdej prawie lekcji czeka: uczennica albo nie skończyła jeszcze obiadu, albo ma gościa, albo wyszła „na chwilkę” — ona więc czeka, tracąc po kilka lub kilkanaście minut czasu, co w ciągu dnia składa godzinę i więcej.

Jest do tego przyzwyczajona, ona — nauczycielka...

*

Trzeciorzędna restauracja.

Za bufetem drzemie otyła panna o malowanych włosach i oczach. W drugiej sali siedzi paru gości, głośno rozprawiających.

Około portyery przesuwają się cicho cień w szarej sukience, wytartej, pomiętej, w kapelusiku na czoło nasuniętym, skromnym, opasanym aksamitką, z parasolem w ręce, trzema — czterema książkami i paroma zeszytami pod pachą.

Przechodzi przez salę i zajmuje miejsce w ciemnym rogu, przy stoliku.

Kelner podniósł się z kąta, spojrzał na przybyłą i leniwie podszedł, kładąc niedbalem ruchem kartę na stół.

Wybrała zupę, sztukę mięsa i rozłożywszy zeszyt, poczęła przebiegać wzrokiem stronicę. I tu pracuje — przy obiedzie. Przy obiedzie w trzeciorzędnej restauracji za 50 halerzy.

Obie z siostrą są cały dzień po za domem, więc gospodarstwem zająć się niema komu. Przytem nawet razem jeść nie mogłyby, gdyż różnie mają rozłożone godziny lekcji. Jadają więc w trzeciorzędnej restauracji.

Weszło tam właśnie jakieś wesołe towarzystwo, złożone z dwóch młodzieńców i jednej damy. Kelner pospieszył do nich, zapominając o obśtalunku, wziętym przed chwilą.

Ona czeka.

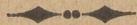
Jest do tego przyzwyczajona, ona — nauczycielka...

*

Mijają lata; sterana życiem i pracą szuka odpoczynku na stare lata w schronisku. Ale nauczycielek jest wiele, a miejsc mało.

Tuła się, gdzie i jak może, aż miejsce zawakuje.

I znowu — czeka, bo była tylko — nauczycielką.



Listy od czytelniczek „Niewiasty.”

Gorzki zawód.

Miłe Spółczelniczki Niewiasty! Czytając wasze zajmujące listy, postanowiłam i ja, wzięwszy pióro do ręki, po raz pierwszy opisać coś z własnego życia, które jak dotąd, smutnie mi upływa.

Jestem córką Ignacego Młynarskiego, rolnika, z Glinianki w pow. niskim. Rodziców moich nazywają bogatymi, bo mają najwięcej chleba w całej wiosce i posiadają przeszło 30 morgów ziemi. Ale cóż mi z tego, kochane siostry, że mam bogatych rodziców, u których przez 20 lat się chowałam, kiedy mam u nich nawet kasek chleba wymówiony, jakby go mieli dla mnie za mało, choć przez wszystkie te lata zajmowałam się tylko pracą przy roli i koło domu. A wiadomo wam, Siostry drogie, ile to roboty bywa przy takiej gospodarce, a zwłaszcza w naszej wiosce jest ona przez to utrudniona, że grunta są podzielone na małe, półmorgowe pasy.

A już od dziecięcych lat pchali mię do tej roboty i choć mi wstyd, ale wyznam, bo nie jestem temu winną, — że prócz tej ciężkiej gospodarskiej pracy, nic więcej nie umiem. Nie rozumiem nawet co funt a co metr, jaki podział miar i wag i t. p. Szkoły też u nas wprawdzie niema, tylko w zimie przychodzi z obcej wsi człowiek, umiejący trochę czytać i ten uczy dzieci. Lecz i do tej nauki mało kiedy mię posyłali, bo to także kosztuje: za stancję od dziecka 60 groszy na zimę, a profesorowi pożywienie z kolei i 40 gr. na miesiąc. Ojcom moim i to się wydawało za dużo na wykształcenie własnego dziecka, bo według nich, jak ono umie a, b, c, to już dużo i nasłuchują się od nich słów takich: — „Dość już! twoja babka i matka i tyle nie umie a żyje.”

A przecie dziewczynie, zwłaszcza gdy dorośnie, konieczna jest oświata. Gdy pójdzie do miasta, a nie umie kupić ani sprzedać, to da się oszukać i nie potrafi się rozmówić roztropnie z nikim. Co do mnie, to nawet nie znam miasta, choć pod Ulanowem się wychowałam, bo mię nie puszczano, powtarzając ciągle, że to nic nie warto, tylko robić, a robić przy gospodarstwie. Ja też wtedy wierzyłam w to, co mi mówiono.

Aż zgłosił się pewnego razu chłopak wsiowy imieniem Klemens, który chciał mię pojąć za żonę. On to dopiero wytłumaczył mi, że prócz pracy ręcznej, konieczną jest, zwłaszcza w naszych czasach, nauka czytania, pisania, rachunków, a nawet rozrywka i towarzystwo, bo inaczej z człowieka robi się ograniczona istota, jakoby maszyna bez myśli i pojęcia o świecie. Klimek abonował gazetkę i przez niego poznałam „Niewiastę.”

Wysłałam za niego w r. 1904 w lutym. Choć do małżeństwa nie miałam jeszcze ochoty, namówili mię rodzice, a ojciec kijem mi nawet zagroził, gdybym się im opierała, mówiąc, że jakbym za Klimka nie poszła, to osiwięję, a za innego mnie nie wydadzą. Ale od dnia ślubu zaczęły się moje smutki i utrapienia. Nie myślcie, Siostry miłe, że z powodu mego męża, — jakoby nie był dobry, bo tak nie jest. Ale własni ojcowie stali mi się nieprzyjaciółmi. Zrobili oni ze mną tak, jak mówi przysłowie: „Gdy żenią, to ręce, nogi dają, a potem za drzwi wypychają.” — Z Klimkiem, w zaręczyny umówili się ojcowie moi o posag, t. j. że mu za mną dadzą zaraz po ślubie, kilka dziesiątek i 2 łaki. On się na to zgodził i choć mu gdzieindziej więcej obiecywano, nie opuścił mię.

Spuścił się też na ich słowa, wierząc ze ich dotrzymają i nie wymagał nawet zapisów notaryalnych. Ale jak tylko przyszło do koszenia tych łąk, tak mój ojciec jak i mąż, chcieli każdy dla siebie i zamiast siana, które miałam dostać na dorobek, nasłuchiłam się tylko przekleństw i obrazy bożej. Nielitościwi rodzice odebrali nam łąkę, a wypłatę pieniędzy odkładają z roku na rok.

I kiedy w rok po ślubie, mój Klimek potrzebował spłacić siostrę i upomniął się u ojca o to, co miał przyręczone, odpowiedział mu: — „Obiecałem, ale nie dam.”

Te słowa, jak piorun z jasnego z nieba na nas spadły, i ten mąż, tak dobry, że równego jemu, trzebaby w tysiącu szukać, teraz, przez złość ojców zniecierpliwiony, wypędza mnie tam, skąd przyszedłem, t. j. do rodziców. Tak więc, przez własnego ojca i matkę zostałam rozwiedziona z mężem. Patrzą na moje łzy, które wylewam, żebrząc od nich zmiłowania, a serce ich, twarde jak skała, niczem się nie poruszy. Jak mogą patrzeć na złamane szczęście domowe własnej córki i jak nie obawiają się ciężkiej kary bożej za swe okrucieństwo i złamanie słowa, to pojąć trudno. Strzegę ja się przecie złego słowa przeciw nim wyrzec, aby mię Bóg za to nie sądził.

Rozważcie kochani Czytelnicy i Czytelniczki, jak smutno na świecie, jeżeli dziecko nie może wierzyć rodzicom i ponieważ od nich doznaje. Gdym przed nie dawnym czasem miała porodzić dziecię, oni sami oczerniali mię głosząc przed innymi, że jest ono nieprawe, a rozwiązanie, jakie u nich przeszedłem, było tak nędźnie obsłużone, że od takiego, ochraniaj Boże każdą z was! Kto czytał żywot św. Genowefy, która, choć księżna, porodziła syna zamknięta w ciemnym więzieniu, może mieć wyobrażenie o smutnem mojem położeniu. Mnie jednak żal jeszcze gorszy ścisnął serce niż jej, bo od rodzonych ojców tego się doczekałam.

Niech pomyślą, to przeczytawszy, rodzice wydający na swe dziewczęta, ile złego może w świecie sprawić chciwość i brak ojcowskiej miłości. To co tu napisałam, może się komu nie podobać, ale z pewnością tylko takiemu, co tak samo z dziaćkami swemi postępuje. Ale takiemu, ja doświadczona, choć młoda, powiem śmiało, iż nie wart on, że mu Bóg dał potomstwo!

Śię wam serdeczne pozdrowienie, kochane Siostry!

Anieli z Młynarskich Koniowna.

Rozmaitości.

Małżeństwo zerwane przy ołtarzu. W Wiedniu zaszedł rzadki wypadek. W kościele parafialnym w Pötzleindorf brali ślub niejaki Pokorny z Leopoldyną Hendschl. Gdy kapłan począł czytać formułę przysięgi i pytał czy ma dobrą i nieprzymuszoną wolę itd., narzeczona zawołała „nie!” — Wszyscy osłupieli, a wtedy panna młoda oświadczyła, że gdy nie może wyjść za tego, kogo kocha, to zrzeka się małżeństwa, poczem ostentacyjnie wyszła z kościoła. — Narzeczony zamiast pogonić za narzeczoną, pobiegł ze świadkami do restauracji, aby odwołać ucztę weselną. Świadkowie, którzy przynieśli ze sobą prezenty ślubne, jak naczynia, serwisy itp. potłukli je na bruku, wołając: „Nie ma narzeczonej, niepotrzeba naczynia.”

Zbrodniarz pijanica. Robotnik Lewandowski w Gaarden pod Kolonią, powróciwszy w pijanym stanie do domu, — oblał swą spiącą żonę naftą, poczem podpalił łóżka. Nieszczęśliwa kobieta zmarła wkrótce potem wskutek ran odniesionych. Zbrodniarza przyaresztowano.

Dwużeństwo. 70-letni robotnik Kazimierz Górski z Jankowa pod Ostrowem, ożenił się poraz drugi z pewną robotnicą, chociaż już ma żonę i dzieci. Gdy wieść o tem się rozeszła w dzień ślubu między weselnikami, wszystko zostawił i uciekł. — Policja już go pochwyciła.

Szczególny zamysł. Żona rzemieślnika kupiła sobie młodego kruka. Ciekawa sąsiadka spytała ją, co robi z tym brzydkim ptakiem? — Ja i mój mąż chcieliśmy się przekonać, — odpowiedziała tamta, — czy to prawda, iż kruk żyje 700 lat.

Zagadka.

Śłuchajcie wy co mię odgadnąć chcecie:
Oto jestem *literą na literze*;
Bardzo wiele stanowię na tym świecie,
Każdy ze mnie jakowąś korzyść bierze.